

na cywilizacją. Nie ma już jednak innego horyzontu jak niewola przyjemności fizjologicznych, którą nazywa się wolnością od cierpienia, a Europejczycy chętnie oddadzą dziś za tę wolność duszę. ■

Tomasz Rowiński

Voltaire Hebdo

Voltaire, *Słownik filozoficzny*,
przekład i wstęp M. Skrzypek, Fundacja
Augusta hr. Cieszkowskiego, Warszawa 2015,
s. 428 + LXXII

Gdyby Wolter żył dzisiaj, prawdopodobnie wydawałby wolnomyślicielskie pismo z karykaturami Mahometa, Jahwe i Trójcy Świętej. Nie dlatego, że był ateistą, bo nie był. Wolter ze *Słownika filozoficznego* jest publicystą, to znaczy jego pisma mają powodować bezpośrednie skutki społeczne i służyć określonej sprawie – uwolnieniu życia społecznego od przemocy, to znaczy od religii fanatycznej (z taką właśnie prostotą przebiega to równanie u Woltera). Czysta perswazja stoi w tej publicystyce wyżej niż argument. *Słownik filozoficzny* jest małą *Encyklopedią*, która zresztą też była formą publicystyczną. Jest on kompilacją krótkich tekstów, czasem przebranych w szaty erudycyjnej rozprawki, czasem mających formę bajki lub anegdoty.

Dlatego tak dobrze mieści się on w poetyce karykatury. *Słownik* jest pełen ironicznego, prawie zawsze skandalizującego dowcipu. Jeśli coś jest tu męczące, to pływ-

kość wywodu, natomiast na pewno nie jego zawilgość. *Słownik filozoficzny* miało się czytać jak gazetę lub „literaturę toaletową”: na wrywki, w przerwie w pracy, pod prysznicem (w czasach Woltera były już prysznice?). Jest to więc rodzaj salonowej mnemotechniki, coś jak – to inne dobre porównanie – *Mini wykłady o maxi sprawach*: lektura do liberalnych oświeconych, zbyt *sublime* na to, by czuć się częścią gminu, ale zbyt zajętych, by dojść do mądrości drogą żmudnego studium. Nabyte dzięki takiej ekspresowej lekturze wiadomości z zakresu sceptycyzmu stosowanego można natychmiast użyć w dyskusji ze swoimi mniej oświeconymi współobywatelami; wykorzystać w bezkompromisowej i brutalnej (bo preferującej perswazję przed argumentem) walce o tolerancję. Wolter (tu inaczej niż Kołakowski) umiejętnie podlizuje się swoim czytelnikom i oddaje im za darmo tytuł prawdziwych uczonych: „książkę tę winni jednak czytać ludzie oświeceni; pospółstwo nie jest przygotowane do przyswajania sobie takowej wiedzy” (s. 5). Oświecenie nie jest nagrodą za długie poszukiwanie prawdy. Wystarczy zniechęcić przemoc i jej źródło: zabobon.

Religia i przemoc – dzieło Woltera krąży wokół tego jednego tematu. Wolter chce stworzyć nowe społeczeństwo, wolne od przemocy, która, jego zdaniem, zawsze zaczyna się od fanatyzmu, czyli absolutyzacji jakiegoś partykularyzmu przeciwko uniwersalnemu prawom ludzkości. Fanatyzm jest herezją nowoczesności: wyborem części przeciwko całości. Ukazaniu

zgubnych, bo pełnych przemocy, skutków tej herezji służą pieprzne dowcipy i karykatury księży – tak jest u Woltera, tak bywa i dziś. Ortodoksją jest doktryna tolerancji, tylko ona bowiem wydaje się gwarantować zachowanie całości: integralności życia wszystkich ludzi; tylko ona wydaje się zabezpieczać ich współzycie.

Domyślną religią przemocy jest, rzecz jasna, rzymski katolicyzm – waldensi, protestanci, Arabowie, żydzi, a nade wszystko ukochani przez Woltera socyzanie, występują w *Słowniku* głównie jako ofiary katolickiej przemocy. Pod hasłem *Męczeństwo* czytamy: „czy chcecie mieć sprawdzone porządnie barbarzyństwo, stwierdzone dobrze piękne masakry, strumienie krwi, które rzeczywiście spłynęły z ojców, matek, mężów, żon, dzieci przy piersi, których ciała zostały złożone jedne na drugich; potworni prześladowcy, szukajcie tych prawd jedynie w waszych annałach: znajdziecie je w wyprawach krzyżowych przeciwko albigensom; w masakrach w Mérindol i Cabrières, w strasznej rzezi w Noc świętego Bartłomieja, w masakrach popełnionych w Irlandii i na waldensach w dolinach Vaud” (s. 307). Uderzając w kult męczenników, Wolter rozmontowuje „najwyższą mądrość ewangelicznego opisu męki”. Chrześcijaństwo nie jest już ostatecznym Objawieniem i przekroczeniem pogańskich religii przemocy. Jest religią przemocy *par excellence*, w której przemoc religijna jest naprawdę groźna,

bo wspiera się na „naukowym” autorytecie teologii. To ona zapewnia katolikom fanatyczną determinację¹.

Są jednak w *Słowniku* fragmenty, w których spogląda się z pogardą z piedestału „cywilizacji” również na inne religie. Dużo miejsca poświęca się historii „Żydów, naszych mistrzów i naszych wrogów, w których wierzymy i którymi gardzimy” (s. 10). Swoje hasła mają patriarchowie Żydów, tej „koczującej hordy Arabów”: Adam, Abraham, Mojżesz, Juda, Jefte czy Dawid. Wykpiwana jest ich rozwiązłość, nieuczciwość oraz barbarzyństwo, zaznaczające się w stosowaniu religijnie uzasadnianej przemocy. Wolter nie oszczędza więc żadnej religii, a jeśli przelotnie wypowiada się pochlebnie o którejś z nich, to tylko po to, by przeciwstawić jej inną. Ostatecznie więc żadna z nich nie może być pewna swojego losu w tolerancyjnym społeczeństwie Woltera.

O tym, jak miałyby ono wyglądać, dowiadujemy się zresztą przy okazji pewnej osobliwej wzmianki o muzułmanach: „jeżeli macie u siebie dwie religie, to będą sobie skakać do gardła; jeżeli macie trzydzieści, będą żyły w spokoju. Zobaczcie Wielkiego Turka: rządzi gebrami, baniamitami, chrześcijanami greckimi, rzymskimi, nestorianami. Pierwszy z nich, który wszcząłby tumult, zostałby wbity na pał, a reszta żyłaby w spokoju” (s. 410). Jest to swoiście rozumiany multikulturalizm; przekonanie, że odpowiednia ilość różnych re-

¹ W kontekście spekulacji nad teologią Trójcy Św. czytamy: *Nic z tego nie rozumiem, nikt nigdy nic z tego nie zrozumiał i to jest racja, dla której ludzie się wyrzynali* (s. 41).

ligii przechodzi w nową jakość ich współżycia. Wrogów nie może być więcej niż dwóch. Gdy jest ich więcej, każdy z góry godzi się na status mniejszości. Ale nad tą samoregulującą się harmonią tolerancji i tak czuć musi naga przemoc. Nie wydaje się przypadkiem, że upragniona wolność od przemocy sama potrzebuje przemocy legalnej, by zostać utwierdzona. Miłośnik tolerancji śni o azjatyckim palu, na którym zawisną wrogowie pokojowego współżycia. Hipokryzja? Raczej kłamstwo prześladowców. Przemoc jest tu przeszkodą, która pociąga, a im bardziej próbuje się ją oddalić, tym bardziej fascynuje i się narzuca. A to dlatego, że nie rozumie się jej istoty.

Od dzisiejszych zwolenników multikulturalizmu² różni Woltera fakt, że nie ma on ciągłotek politeisty. Marzenie o trzydziestu religiach nie jest dla niego marzeniem o trzydziestu bogach: „Ja myślę odwrotnie, a mianowicie zaczęto najpierw uznawać jednego Boga, a następnie ludzka słabość przyjęła istnienie wielu [...]” (s. 368). Wolter, jak powiedziałem, nie chce być ateistą: ateizm wydaje mu się być zbyt szkodliwy społecznie (por. s. 48-53). Autor *Słownika* jest typowym wyznawcą boga moralności – boga, który musiał umrzeć na anemii w kolejnym stuleciu. Deista, którym był Wolter, musi być monoteistą. O jego Bogu nie można powiedzieć nic poza tym, że

jest uosobionym systemem wartości tolerancyjnego libertyna. To znaczy jest idolem, totemem. Jest Bogiem rozumu, jednakże rozum ten to nie kosmiczny logos, a zdrowy rozsądek oświeconych obywateli *republique des lettres*. Jeden Bóg, którego nie ujmuje żadna z religii instytucjonalnych, a który pojawia się jako konieczny moment systemu społecznego, gwarant tolerancyjnego współżycia; Bóg rozumnych i „zacnych ludzi”, ludzki, arcyłudzki Bóg mieszczan: „jaka – zapytajmy – byłaby religia najmniej zła? [...] Nie byłaby to religia podtrzymująca wiarę za pomocą katów i nie zalewałaby ziemi krwią w obronie niezrozumiałych sofizmów religii, [...] ta religia [...] uczyłaby tylko, jak wielbić Boga, jak być sprawiedliwym, tolerancyjnym i ludzkim” (s. 374).

Wolter staje więc przed dylematem: z jednej strony potrzebuje uniwersalnej, niepodlegającej relatywizacji zasady współżycia społecznego; zasady uniwersalnego pojednania. Znajduje ją – mimo wszystko – w religii. Z drugiej strony istniejące religie uznaje za źródło przemocy i partykularyzmu: zasady różnicujące, które blokują proces modernizacji. By rozwiązać ten dylemat, rozróżnia dobrą i złą religię: religię bez dogmatu i religię teologów, religię ludzi racjonalnych i religię ludzi radykalnych, religię rozsądnych i religię szalonych. Pierwszą nazywa religią państwową, drugą zaś religią teologiczną: „religia państwowa nie może w żadnym razie powodować wszelkich niewyobrażalnych głupstw i zamieszek. Inaczej jest z religią teologiczną: jest matką fanatyzmu

² Zob. Z. Bauman, S. Obirek, *O Bogu i człowieku*.

Rozmowy, Warszawa 2013; A. Bielik-Robson, *Prawodawcza postać boskości*, <http://blogjp2.pl/bielik-robson-prawodawcza-postac-boskości/> (dostęp 27.11.2015, 11:45).

i cywilnej niezgody; jest wrogiem rodzaju ludzkiego” (s. 377).

Wolter jest więc ostatecznie antyintelektualistą. Boi się dociekań w kwestiach zasadniczych, bo prawda zniewala i tyranizuje. To głębokie przekonanie tłumaczy też dziwaczność formy *Słownika* i *Encyklopedii*. W gruncie rzeczy są to dzieła pozbawione wiary w ludzki rozum, antyintelektualne i na swój sposób obskurancie – chyba że za ideał mądrości można uznać wiedzę erudyty-rupieciarza, kogoś, kto gromadzi wiadomości z rozmaitych dziedzin. Dlatego książka, która nazywa się *Słownikiem* – i to słownikiem *filozoficznym* – jest tak naprawdę publicystyczną kompilacją. Wolter korzysta, rzecz jasna, z estetycznego nimbu otaczającego społeczny status „uczzonego”, ale działa i myśli jak sceptyk, którego interesuje wyłącznie uwolnienie siebie i innych od zapędów „posiadaczy prawdy”.

Z jeszcze jednego powodu teologia polityczna Woltera stanowi regres w stosunku do oświecenia przyniesionego przez Objawienie. Woltera gorszą podziały na poziomie społecznym, gorszy go przemoc wynikająca z różnic między partykularyzmami. Dlatego projektuje porządek publiczny, który znosi różnicę mechanicznie, bo przecież z miłośnikami prawdy nie da się dyskutować na argumenty. Pokojowe przeprowadzenie niwelowania nierówności i partykularyzmów zapewnia ciekająca w tle legalna przemoc. Jednocześnie różnica i namiętność odtwarza się na

poziomie indywidualnym, na poziomie życia jednostki. Aż trzy różne artykuły *Słownika* poświęcone są różnym aspektom „miłości”: namiętności zmysłowej, pederastii i miłości własnej. „Ta miłość własna jest narzędziem naszej konserwacji, które przypomina narząd utrwalania gatunku; jest on konieczny, jest nam drogi, daje nam przyjemność, a musimy go ukrywać” (s. 29). Wolter odsłania ten mechanizm ukrycia. Chce odsłonić „miłość”, rozumianą jako namiętność i pożądanie, jako „podstawę wszystkich naszych uczuć i wszystkich naszych czynów”. Nagie życie, które dąży do zachowania samo siebie, ślepe, zorientowane tylko na przetrwanie i samozaspokojenie, jak *conatus* Spinozy. Z nagim życiem, z pożądaniem ciała nie da się walczyć, należy umieścić je poza dobrem i złem oraz zagwarantować, by miłość własna jednostek nie zniszczyła współżycia społecznego. Wolter chce to wszystko odsłonić, ale nie po to, by zdekonstruować, ale by uzasadnić prywatne panowanie namiętności.

Wolter chciałby, aby religia państwowa pozwoliła mu cieszyć się przyjemnościami w posiadłości Délices (Rozkosze), gdzie powstawał *Słownik*. Widzę go, jak pisze tam wiadomość do swoich przyjaciół po zamachach w Paryżu: „Przyjaciele z całego świata, dziękujemy wam za #PrayForParis, ale nie potrzebujemy już więcej religii! Nasza wiara kieruje się ku muzyce! Pocałunkom! Życiu! Szampanowi i zabawie!”³.

³ Wiadomość Joanna Sfara z redakcji „Charlie Hebdo” z 14 listopada 2015 r.; <https://www.instagram.com/p/C-NNrHZXh/?taken-by=joannsfar> (dostęp 27.11.2015, 13:07).

Regres w stosunku do Objawienia polega, rzecz jasna, na tym, że Wolter potrafi zdystansować się od przemocy na poziomie społecznym, a jednocześnie restytuować źródło przemocy – pożądlivość i rywalizację – na poziomie indywidualnym. Z tej perspektywy każda próba wskazania na systemową zależność między mechanizmami przemocy społecznej a mechanizmami pożądania i miłości własnej jest skazana na porażkę. Cywilizacja libertynów opiera się właśnie na zakryciu tego mechanizmu, na mityzacji ludzkich działań. Dlatego „religijna przemoc” jest dla nich czymś z pogranicza magii i koszmaru. Jest niezrozumiała. Cywilizacja postchrześcijańska jest bezbronna wobec „fanatyków”, bo tkwi w idiotyzmie życia mitycznego. Dlatego jedyna reakcja, na jaką stać ją wobec przemocy, to rytualne powtarzanie: „Jestem w szoku!”. ■

Paweł Grad

Odrowąż

Elżbieta Wiater, *Wierny Pies Pański*.

Biografia św. Jacka Odrowąza,

Wydawnictwo Znak, Kraków 2015, s. 253.

Święty Jacek Odrowąż nie był dla mnie postacią nieznaną, kiedy sięgałem po najnowszą książkę Elżbiety Wiater *Wierny Pies Pański*, w podtytule określoną mianem biografii pierwszego polskiego dominikanina. Wręcz przeciwnie – to, co o nim wiedziałem, stanowiło dla mnie zachętę do lektury. Czyż nie intryguje bo-

wiem postać, która 800 lat temu toczyła swoje życie na tej olbrzymiej przestrzeni centralnej i wschodniej Europy, będącej potem sceną niezwyklej i wyjątkowej epepei nazywanej historią Polski? Zrodzony na Śląsku Opolskim, niejako na Kresach Zachodnich, dociera w swoich misjach aż po Bałtyk w Gdańsku i do naddnieprzańskiego Kijowa, dziś, zdaje się, bardzo odległego, a przecież przez lata stanowiącego część Rzeczypospolitej i stąd ciągle żywego w mitycznej pamięci Kresów Wschodnich. Po drugie, nie może nie przemawiać do wyobraźni fakt, że po raz pierwszy w dziejach, 250 lat po chrzcie pierwszego polskiego władcy, nowy nurt odnowy i reformy Kościoła, Zakon Kaznodziejski, zostaje zaprowadzony w Polsce niemal nazajutrz po tym, jak się zrodził. To przeniesienie na polskie ziemie odbywa się z błogosławieństwem założyciela zakonu, a jednocześnie dokonują tego sami Polacy.

Lektura biografii mnie nie zawiodła. Nie tylko w tym sensie, że autorka zajmująco opowiada o życiu św. Jacka i podaje wiele interesujących wiadomości. Moim zdaniem podstawowa wartość *Wiernego Psa Pańskiego* wynika z tego, że nie jest to zwykła biografia. To raczej hagiografia najwyższej jakości. Dla czytelnika bardzo szybko staje się jasne, że autorka sama jest gorącą czcicielką św. Jacka i że ponowne rozpropagowanie jego kultu było podstawowym celem, jaki przyświecał jej przy pisaniu książki. Zapewne dlatego całkiem sporo miejsca zajmują w niej opisy cudownych zdarzeń przypisywanych wstawiennictwu dominikanina zarówno